

KRZYSZTOF JASIŃSKI | Założyciel i dyrektor Teatru STU opowiada Jackowi Cieślakowi o początkach tej sceny i premierze „Rewizora” 19 lutego.

✈: Jak się pan czuje przed jubileuszem 50-lecia kierownego przez pana Teatru STU, co w teatrze jest bez precedensu!
KRZYSZTOF JASIŃSKI: Prawda jest taka, że zamiast emocji zajmował mnie pewien rodzaj kalkulacji. Przecież od lat zdawałem sobie sprawę, że przyjdzie czas, jaki teraz przeżywam, i trzeba będzie coś z tym zrobić!

Czy to znaczy, że pogłoski o upadku TVP są przesądzone?
Ja używam słowa „upadek” jako ostrzeżenia. Bo jeśli nie będzie dobrego systemu finansowania mediów publicznych, to ich koniec jest bliski. Nie chodzi tu o zwykłą firmę, ale o telewizję, która ma wyznaczać standardy, realizować obowiązki wobec kultury, edukacji, stanowić narzędzie budowy kapitału społecznego. Nie da się robić Teatru TV za pomocą dwóch kamer i trzech aktorów. Często słyszę: „Od zawsze się mówiło, że telewizja publiczna ma za mało”, tylko że w ciągu ostatnich lat naprawdę coś się załamało. To wymusiło zmiany, obniżyliśmy koszty, ale poniżej pewnego poziomu nie da się pełnić misji.

O jakim okresie pan mówi?
Mniej więcej o ostatniej dekadzie. Kiedy doprowadziłem teatr do czterdziestki, zrobiłem z Jerzym Trelą, z którym zaczynałem w Teatru STU, przedstawienie „Rozmowy z diabłem” oparte na tekście Leszka Kołakowskiego. Powiedziałem wtedy Jurkowi, że jak Bóg da, dociągniemy do pięćdziesiątki i trzeba o tym poważnie pomyśleć. Tak rodził się hardy plan doprowadzenia teatru do sytuacji specjalnej, jaką jest pięćdziesiątka – wbrew wszystkim trendom, modzie, koniunktorom i sytuacji na około.

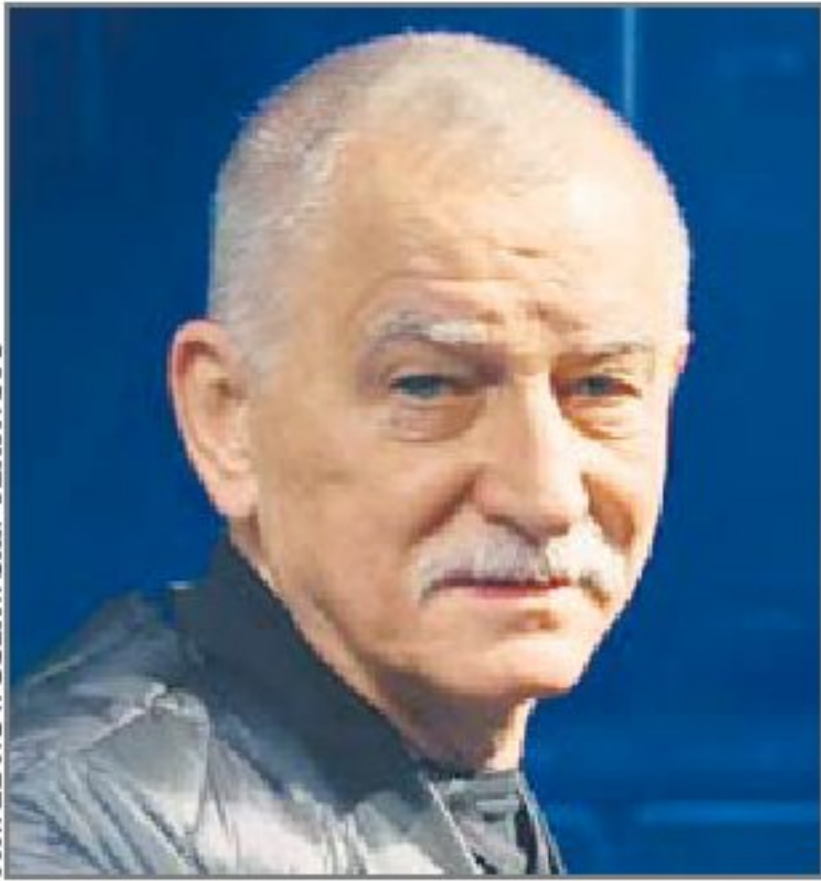
Wyreżyserował pan „Rewizora”.
To jest suplement, dodatek, bo na jubileusz myślałem głównie o Stanisławie Wyspiańskim i „Wędrowanie” oparte na „Weselu”, „Wyzwoleniu” i „Akropolis” udało mi się zakończyć rok przed terminem.

Skąd wzięło się marzenie o wieczorze według Wyspiańskiego?
Całe życie o tym myślałem. Nadarzała się okazja, kiedy zaproponowano mi dyрекcję Teatru im. Słowackiego, ale postukałem się w głowę i rzecząc odłożyłem na później. Długo nie wyobrażałem sobie, że zrobię Wyspiańskiego w STU, bo wydawało mi się, że się tu nie mieści. Ale kiedy wystawiłem „Hamleta”, a potem „Biesy” i „Króla Leara”, to mnie olśniło. Finis coronat opus – koniec wieńczy dzieło. Pokazaliśmy to, czego wcześniej nikt w „Weselu”, „Wyzwoleniu” i „Akropolis” się nie doczytał, co zauważyli nawet profesorowie od Wyspiańskiego. Jeździliśmy z „Wędrowaniem” po wielu miastach. Przeżywaaliśmy cudowne chwile w Gdańskim Teatrze Szekspirowskim, a wyjątkowe rzeczy działy się w Świnoujściu na Festiwalu

im. Marka Grechuty. To był środek sezonu, na promenadzie głównie Niemcy, a my zdecydowaliśmy się na amfiteatr, gdzie są 2 tysiące miejsc. Modliłem się o widzów i skróciłem spektakl do trzech godzin. Chciałem uniknąć przerw, by nie dawać nikomu szansy do wyjścia, a sobie grania wyłącznie dla kilku entuzjastów.

I?
Nie wyszedł nikt! Dostaliśmy owacje na stojąco. Po tym, już z pozycji siły, mogłem znaleźć taki tytuł, który umożliwił zatrudnienie najstarszych aktorów STU. Na co dzień bowiem nie myśli się, żeby zebrać w jednym przedstawieniu naszych „dziadków leśnych” będących na emeryturach, aby pokazali, że żyją, mają się dobrze i biegają po schodach po dwa stopnie. Mówię o czterech kolegach. To Włodzimierz Jasiński, Franciszek Muła, Wiesław Smelka, Józef Małocha – aktorzy jeszcze z czasów naszych początków, z okresu heroicznego, czyli „Spadania” i „Sennika polskiego” i „Exodusu”. „Rewizor” oparty jest na parafrazie przekładowej Tadeusza Nyczka. Naczelnika, spolszczonego Horodniczego, gra Dariusz Gnatowski, który debiutował w Teatrze STU ponad 30 lat temu i Teatr STU jest jego domem. Masowa widownia zna go jako Boczka ze „Świata według Kiepskich”. Muszę dodać, że od kiedy dysponowaliśmy namiotem, czyli od połowy lat 70., do „Rewizora” przymierzałem się wiele razy. Również dlatego, że u Gogola pada w tekście słowo „cyrk”. Zawsze mi to po głowie chodziło. Ale nie miałem możliwości artystycznych. Jak się nie ma Chlestadkowa, nie można wystawić „Rewizora”. Teraz zagra go Krzysztof Piątkowski, wcześniej Piotr Wierchowieński w „Biesach”. Myślmy głównie o widzach. Chcemy bowiem, żeby „Rewizor” zasilal repertuar przez wiele lat. Mamy dobre wzorce. „Wariat i zakonnica” idzie już 30 sezonów, a nie zmieniałem w spektaklu nic.

Ale pana teatr ewoluował: zaczął pan od eksperymentu, konkrkultury, teraz zaś bliżej mu do tego, co określa się teatrem aktorskim.
Moja droga jest dosyć naturalna i jednocześnie szczęśliwa, a nie zawsze musi



tak być. Trzeba mieć dobre geny lub dobrą karmę, żeby zrobić z buntem coś pozytywnego, bo nie zawsze bunt zamienia się na wartość. Na ogół się rozmywa albo bywa kupiony. Nasza historia jest taka, że Teatr STU zrodził



♦ „Exodus”, 1974 rok. To jeden z najważniejszych spektakli Teatru STU

Pierwszy underground w Krakowie

się z generacyjnego buntu wobec szkoły teatralnej w Krakowie. Byłem na jednym roku z Olgierdem Łukaszewiczem, Jerzym Schejbalem i Wojciechem Pszoniakiem, już wtedy uformowanym aktorem.

Jaki był wasz cel, kiedy w czasach Gomulki Teatr STU tworzył „Pamiętnik wariata” i „Karla”?
Bardziej chodziło nam o język niż o ideologię, która nabrała znaczenia trochę

formy wyrazu aktorskiego. Chodziło nam o świetnie wyreżyserowane spektakle aktorskie, co zostało docenione za granicą. To nas uskrzydliło.

Co zawdzięcza pan Grotowskiemu?
Wcześniej fascynowała mnie iluzja. U Grotowskiego poczułem się ugodzony do żywego. To wiązało się z fizyczną bliskością aktorów wobec widzów. W opolskim okresie Grotowskiego

dosłownie. Potem jeździłem oglądać spektakle Grotowskiego do Wrocławia, a moim pierwszym mentorem był Waldemar Krygier, jeden z najbliższych współpracowników Jerzego, niedoceniony do dziś. Miałem od niego codzienne sprawozdania. Słynne „Apocalypsis cum figuris” znałem krok po kroku.

Jak zaczął się okres kontrkulturowy, związany m.in. z „Exodusem”?
Zawdzięczamy to kontaktom zagranicznym i karmie polskiej, bo jestem przedstawicielem pokolenia, które zostało niezwykle doświadczone. Po 1956 roku poznaliśmy Bim-Bom, STS, Piwnicę pod Baranami, jazz, ale też amerykańskich beatników. Potem zaczęli się Beatles. Otarliśmy się o Gomulkę. Kiedy byłem szefem strajku w PWST w marcu 1968 roku, telegrafowaliśmy do niego. Kiedy rozgrywały się buntystudenckie na Zachodzie w maju, my byliśmy już kombatanami. To wtedy debiutował w STU student Uniwersytetu Jagiellońskiego Jerzy Stuhr. Kiedy złała go solanka z Solvayu milicyjna armatka, przyszedł na próbę zaniepokojony o stan swojej fryzury, tak mocny był strumień, który wyczesał mu

włosy. Ale wieczorem Stuhr z Trelą zagrali „Kobietę demona” Sacher-Masocha tak mocno, że jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zrobił się teatr polityczny. Od 1970 roku byliśmy już ewidentnie pierwszym undergroundowym teatrem politycznym w Krakowie. Underground był dosłownie. Do Klubu Pod Jaszczurami niełatwo było się dostać, bo to było kameralne miejsce. Teatr STU na Brackiej wcześniej miał 35 miejsc. Teatr 13 Rzędów Grotowskiego też był niewielki, a jednak były to przyjazne miejsca, dobre do wymiany energii z widownią.

Jak Kraków przyjmował wasz underground?
Bardzo dobrze. Od Kantora przyszła do nas Zofia Kalińska, ze Starego – Zofia Niwińska, z Teatru Rapso-dycznego zaś – Danuta Maksymowicz, późniejsza żona Jerzego Jarockiego. Wszystkie nurty krakowskiej awangardy zbiegały się u nas, a jednocześnie tworzyliśmy nową jakość. Mówię o tych, którzy przyszli na zebranie założycielskie 20 lutego 1966 roku. Romek Kowal, nasz kierownik muzyczny, przyprowadził wtedy Tomka Stańkę, młodego kompozytora.

Który zagra na jubileuszu.
Bo zbieramy do kupy wszystko, co nas tworzyło. Napijemy się i posłuchamy Tomka.

Przyjęcie statusu zawodowego w 1975 roku dla kontrkulturowego teatru było trudne?
To była konieczność. Mieliśmy spory majątek, jeździliśmy po świecie, nie mając własnej siedziby, a wszyscy byli zawodowcami. Ale cały czas dbałem o naszą wyjątkowość, żebyśmy poruszali się na marginesach, a nie głównym traktem, który był dla nas niebezpieczny. Potem staliśmy się cyrkiem, a ściślej krakowskim oddziałem Zjednoczonych Przedsiębiorstw Rozrywkowych. Mieliśmy 130 etatów! A kiedy pewien mój wychowanek chciał odebrać mi władzę, na 25 lecie teatru rozwiązałem etatowy zespół artystyczny, zostawiłem tylko ekipę techniczną. I to był błogosławiony dzień.

Był pan w awangardzie kapitalistycznych zmian. Przypomnijmy, gdzie stał słynny cyrk Teatru STU.
Przy ulicy Rydla, gdzie teraz jest osiedle. To było na Bronowicach, co już brzmi dobrze. Stały tam pohitlerowskie baraki Hitlerjugend, a po wojnie wykorzystane przez socjalistyczne hufce pracy. Miejsce podpowiedzieli zaprzyjaźnieni z nami urzędnicy. Aniołem stróżem w Warszawie był Eugeniusz Mielcarek, m.in. szef ZSP i późniejszy wiceminister kultury.

W namiocie na Rydla grani byli m.in. „Pacjenci” na motowach „Mistrza i Małgorzaty” i „Szalona lokomotywa” wg Witkacego z Markiem Grechutą i Marylą Rodowicz.
Z pomysłem przyszli do mnie Marek Grechuta i Jan Kanty Pawluśkiewicz. Mieliśmy wielki sukces. Gdyby prześledzić historię Spodka w Katowicach, nie było innej takiej imprezy jak „Szalona lokomotywa”, która sprzedawała się pięć wieczorów z rzędu. Pisały o tym wszystkie gazety, w tym te niezajmujące się teatrem. Nawet Irena Dziedzic w „Dzienniku Telewizyjnym” była łaskawa to ogłosić. ☺☺